

L.A. WEATHERLY

ANIOŁ



Świat Książki

*Anioł, który nie jest stróżem
Miłość, która jest przekleństwem*

ANIOL

L.A.WEATHERLY

ANIOŁ

Z angielskiego przełożyła
Barbara Górecka


Świat Książki

Tytuł oryginału
ANGEL

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Edyta Domańska

Redakcja techniczna
Małgorzata Juźwik

Korekta
Anna Sidorek
Agnieszka Mocarska

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych czy martwych – jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © L. A. Weatherly, 2010

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o. o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

ISBN 978-83-247-2615-8
Nr 45091

PROLOG

– Czy to twój samochód? – zapytała dziewczyna za kontuarem sklepu 7-Eleven. – Tamten czarny, błyszczący?

Alex skinął głową i postawił przed nią tekturowy kubek mrożonej latte.

– Super – rzuciła z westchnieniem, wpatrując się w imponujące porsche carrera. Intensywny blask słońca odbijał się od maski niczym płynny onyks. – Nieczęsto można tutaj zobaczyć takie auta.

Racja, idę o zakład, pomyślał Alex, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się właściwie znajduje. Cattle Chute w Oklahomie czy jakieś inne koszmarnie miejsce. „Tu spotkasz prawdziwych kowbojów!” – głosiła podziurawiona kulami tablica na peryferiach miasteczka.

– Trzeci dystrybutor – powiedział głośno.

Dziewczyna posłała mu uwodzicielski uśmiech i zamrugała rzęsami, podliczając benzynę i kawę.

– Więc jesteś tutaj nowy? – spytała z nadzieją. Na plastikowej przywieszce widniało imię Vicky. Była niemal tego samego wzrostu co on, czyli nie taka znowu wysoka – Alex miał metr siedemdziesiąt osiem – a jej potraktowane prostownicą brązowe włosy były tak równe, że można by nimi przeciąć papier.

Praca w weekendy, pomyślał, wyciągając portfel. Na oko szesnaście lat. Zapewne chodzi do tego kobylistego liceum, które minąłem na peryferiach.

Ta myśl zirytowała go i zarazem rozbawiła. Liceum widział jedynie w telewizji: chłopaki w bluzach z numerami na plecach, skaczące po boisku cheerleaderki, przytulone pary na balu maturalnym. Zupełnie inny świat, tak idiotycznie niewinny, że aż przerażający. Uczniowie szkół średnich byli dostatecznie dorośli, żeby walczyć, ale żaden z nich tego nie robił.

Mało kto bowiem wiedział, że toczy się wojna.

– Nie, jestem tylko przejazdem – odrzekł, wręczając dziewczynie kilka dwudziestek.

Na twarzy Vicky odbiło się rozczarowanie.

– Och... Zastanawiałam się właśnie, czy będziesz chodził do naszej szkoły... choć przypuszczam, że jesteś na to trochę za stary. Ile masz lat – dwadzieścia, dwadzieścia jeden?

– Mniej więcej – odparł z szerokim uśmiechem. Naprawdę miał siedemnaście lat, lecz dziewczyna w pewnym sensie się nie pomyliła. Biorąc pod uwagę wszystkie liczące się aspekty, był stary.

– Jak długo tu zostaniesz? – zapytała, z ociąganiem odliczając mu resztę. – No bo wiesz, jeśli szukasz jakichś rozrywek albo kogoś, kto cię oprowadzi po okolicy...

Z kieszeni džinsów dobiegło popiskiwanie – to jego komórka anonsowała przyście esemesa. Serce Aleksa podskoczyło. Zwrócony bokiem do kontuaru, wyjął telefon i otworzył klapy.

Nieprzyjaciel namierzony, Aspen, Kolorado.

1124 Tyler ST.

Tak! Natychmiast poczuł, że ogarnia go gwałtowne podniecenie, jak zawsze, gdy udawała się lokalizacja. Chryste, nareszcie, minął już ponad tydzień, powoli zaczynał wariować. Włożył komórkę z powrotem do kieszeni i uśmiechnął się do Vicky. Właściwie czemu nie? I tak nigdy więcej jej nie zobaczy.

– Może następnym razem – powiedział, zgarniając drobne i kubek z kawą. – Ale dzięki za propozycję.

– Nie ma sprawy – odrzekła, starając się odwzajemnić uśmiech. – Szczęśliwej podróży – dodała.

Alex pchnął wahadłowe drzwi, a wówczas w miejsce ustawionej na zbyt niską temperaturę klimatyzacji wionęło mu w twarz gorące wrześnie powietrze. Wsunął się za kierownicę porsche. Półsportowy wóz był bardzo nisko zawieszony; czarny skórzany fotel przyjął go w swoje miękkie objęcia. Auto było niesamowicie wygodne, i słusznie, bo Alex niemal w nim mieszkał. „Aspen CO”, wstukał w GPS. Szacunkowy czas przyjazdu – druga czterdzieści siedem nad ranem. Prawie dwieście godzin. Będę jechał bez zatrzymywania się, postanowił, upijając łyk kawy. Nie potrzebował snu – do diabła, w końcu od ostatniego polowania niemal wyłącznie odpoczywał.

Wyjechał szybko z parkingu i skręcił na autostradę 83, kierując się na północ. Za sobą zostawił miasteczko: kilkanaście uliczek, przy których stały oszalowane deskami domy, i parę długich, jasno oświetlonych ciągów spacerowych ze sklepami, gdzie miejscowa młodzież krążyła zapewne w sobotnie wieczory, popijając niskoprocentowego budweisera i pokrzykując do siebie. Tuż za jego granicami to wszystko raptownie się skończyło, ustępując miejsca kurzowi, silosom zbożowym i maszynom wiertniczym. Alex ustawił stałą prędkość sto dziesięć kilometrów na godzinę i włączył radio. Zespół The Eagles zawodził o hotelu Kalifornia, na co Alex skrzywił się i przerzucił na swojego iPoda. Na chybił trafił wybrał coś z neoklasyki i rozluźnił się, a porsche gładko łykało kolejne kilometry.

Przemknęło mu przez myśl, co też pomyślałaby sobie Vicky na widok półautomatycznego karabinu w jego bagażniku.

Góry Skaliste otaczały położone głęboko w dolinie Aspen niczym dłonie olbrzyma trzymające garść połyskliwych dia-

mentów. Szosa wiła się serpentynami w dół zbocza, gdy Alex zbliżał się do miasta; reflektory porsche kreśliły kręgi na czarnym asfalcie. Przerażone zajęce zastęgały na poboczu z szeroko otwartymi oczami, raz nawet wystraszył łosia, który z łomotem kopyt rzucił się do ucieczki w las.

Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał drugą pięćdziesiąt jeden, gdy Alex przejechał rogatki Aspen. Nieźle. GPS skierował go na Tyler Street, cichą, wysadzaną drzewami aleję niedaleko śródmieścia. Jedna z ulicznych latarni migotała, reszta świeciła spokojnym pomarańczowym blaskiem, ukazując rzędy domów z wielkimi wykuszowymi oknami i nienagannie przyszyronymi trawnikami od frontu. W żadnym oknie nie świeciło się światło. Wszyscy głęboko spali.

Alex zaparkował samochód kilka domów od numeru 1124. Oparłszy łokcie o kierownicę, uważnie obserwował budynek. Na jego twarzy malowało się napięcie. Niekiedy można było zauważyć oznaki ich obecności, jeśli tylko wiedziało się, czego szukać, ale tutaj niczego takiego nie dostrzegł. Z pozoru był to zupełnie zwyczajny dom, chociaż trawnik przed nim nie był tak nienaganny jak inne. Tu i ówdzie porastały go chwasty, przedzierając się buntowniczo przez trawę.

Zaniedbywanie dobrosąsiedzkich stosunków, tsk, tsk, cmoknął z dezaprobatą Alex.

Zanim zaczął zjeżdżać w dolinę, przeniósł karabin z bagażnika na przednie siedzenie, a teraz włożył do niego nowy magazynek i podniósł lufę do oka, patrząc przez celownik na podczerwień w kierunku uspiętego domu. Widział wyraźnie drzwi od frontu, choć w upiornie czerwonym kolorze. Mógł nawet odczytać nazwisko na skrzynce pocztowej z kutego żelaza, przytwierdzonej do ściany ganku: T. Goodman.

Goodman. Alex parsknął mimo woli. Stwory często przybierały ludzkie nazwiska, żeby łatwiej wtopić się w środowisko; miło stwierdzić, że niektóre z nich miały poczucie humoru.

Przykręcił tłumik do lufy karabinu. Było to prawdziwe dzieło sztuki, cienkie i lśniące jak sama lufa. Teraz pozostało mu tylko czekać. Ułożył się wygodnie w fotelu, obserwując dom. W dawnych czasach, kiedy jeszcze pracowali zespołowo, inni Zabójcy Aniołów nie cierpieli obserwacji, lecz dla Aleksa była to po prostu integralna część polowania. I podniecenie. Należało mieć wyostrzone zmysły, nie wolno było się rozluźnić nawet na chwilę.

Po upływie niemal godziny drzwi się otworzyły. Alex w ułamku sekundy przyłożył lufę do oka, uważnie patrząc przez celownik. Na ganku stanął wysoki mężczyzna, zamknął drzwi na klucz, zbiegł ze schodów i oddalił się ulicą, wybijając na chodniku mocny rytm.

Alex opuścił karabin wcale niezaskoczony ludzką postacią T. Goodmana. Zazwyczaj pokazywali swoją prawdziwą naturę tylko wtedy, gdy się pożywali. Odczekał, aż mężczyzna skręci za róg, kierując się w stronę śródmieścia, po czym wysiadł z samochodu i delikatnie otworzył bagażnik. Włożył długi czarny trenecz, cicho zamknął klapę i ruszył z karabinem bezpiecznie ukrytym pod płaszczem.

Gdy znalazł się za rogiem, ujrzał, jak ścigany osobnik przecznicę dalej przebiega truchtem przez ulicę. Alex na moment zwolnił kroku, pozwalając, by jego wzrok się rozproszył. Natychmiast spostrzegł aurę wokół ciemnej sylwetki: bladobrzystą, z migoczącą na skraju słabą niebieską poświatą.

Przyśpieszył kroku. Stwór nie żywił się od wielu dni, co oznaczało, że właśnie teraz rozpoczął polowanie.

Rzeczywiście, mężczyzna doprowadził go do baru Spurs w śródmieściu. Żółta i różowa neonowa postać kowbojki w króciutkich szortach i mikroskopijnej kamizelce zapalała się i gasła, wymachując kowbojskim kapeluszem. Z wnętrza dochodziły głośna, pulsująca muzyka i chór przeraźliwych męskich wrzasków.

Przyjrawszy się neonowi, Alex potrząsnął głową z posęp-

nym podziwem. Bar Spurs był jednym z tych lokali, w których kelnerki nosiły seksowne ubrania i tańczyły na stołach. Podpici i rozochoceni mężczyźni, którzy o tak późnej porze zdecydują się chwiejnym krokiem opuścić bar, nie będą się zbytnio rozglądać po okolicy, stanowiąc idealny cel dla myśliwego. Musiał przyznać, że sam nie wybrałby lepszego miejsca.

Dwóch wykidajłów ze znudzonymi minami opierało się o ścianę przed wejściem. T. Goodman wtopił się nieopodal w mrok, czego żaden z nich nie zauważył. Alex zajął pozycję za krzywo zaparkowanym subaru, kalkulując w myśli promień rozrzutu. Uznał, że nic mu nie będzie; nieraz podchodził znacznie bliżej. Co innego bramkarze, ci mogą nieco oberwać.

Ciężkie metalowe drzwi do baru otworzyły się raptownie i ukazał się w nich mężczyzna w wymiętym ciemnym garniturze i rozchełstanej białej koszuli.

– Cudowny wieczór, człowieku – wybełkotał, poklepując jednego z wykidajłów po ramieniu. – Te panny są niee-złe. – Potrząsnął głową z niemym podziwem, jakby nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

– Fakt, są naprawdę gorące – odrzekł bramkarz z rozba-wieniem.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz prowadzić, Eddie – wtrącił drugi wykidajło. – Może wezwiemy ci taksówkę?

Eddie nie odpowiedział. Oddalił się chwiejnie ulicą, pogwizdując fałszywie pod nosem. W pewnej chwili potknął się o pustą puszkę po piwie, a hałas poniósł się echem w ciemnościach nocy. Bramkarze spojrzeli po sobie, wzruszając barczy-stymi ramionami. To nie był ich problem.

Alex wyprostował się, gdy T. Goodman wychynął z mroku, i ruszył za mężczyznę niczym cichy, wydłużony cień. Potem wyjął karabin i przyłożył lufę do oka. Był pewien, że atak może nastąpić w każdej chwili. Nie potrzebowali odosobnienia, wystarczyła im względnie otwarta przestrzeń. Nie odrywając wzro-

ku od Goodmana, Alex zaczerpnął głęboko powietrza, by zebrać się w sobie, po czym szybko przesunął ośrodek energii w górę, przez kolejne punkty czakramów, i osadził go tuż nad czubkiem głowy.

Natychmiast poczuł, że przechodzi go lekki dreszcz, gdy stwór zespolił umysł ze swoją ofiarą. Miał rację – pora ataku nadeszła. Eddie zachwiał się i zatrzymał z niepewną miną. Potem powoli się odwrócił.

Ludzkie ciało Goodmana stopiło się z nieprzyjemnym chrzęstem. Jego miejsce zajęło oślepiająco białe światło, niczym latarnia morska zalewając jaskrawym blaskiem ulicę, bar, pobliskie budynki i drobną, przerażoną twarz Eddiego. W jego centrum znajdowała się jaśniejąca ponaddwumetrowa istota o gigantycznych rozpostartych skrzydłach, które były tak białe, że wydawały się niemal niebieskie.

– Jezus Maria – wykrztusił Eddie, gdy anioł zbliżył się do niego.

Przyczajony za samochodem Alex słyszał głosy wykidajłów żartujących z kobietą, która zatrzymała się, prosząc o ogień. Gdyby któryś z nich spojrział w tę stronę, ujrzałby jedynie Eddiego, który chwiał się pijacko na ciemnej ulicy.

Oparty o dach subaru Alex patrzył przez celownik, trzymając karabin pewną ręką. W soczewce pojawiło się wielokrotnie powiększone oblicze stwora. Jako człowiek Goodman był fizycznie atrakcyjny, jak wszystkie anioły, choć Alex wiedział, że gdyby przyjrzeć się uważniej jego twarzy, wydałaby się ona nieco dziwna – nazbyt wyrazista, z oczami za ciemnymi, by mogły budzić sympatię. Ale teraz, w postaci anioła, rysy Goodmana emanowały niebiańskim pięknem, wyrażając stanowczość i dumę. Otaczająca jego głowę aureola świeciła boskim płomieniem.

– Nie lękaj się – rzekł uspokajająco głosem, w którym brzmiało tysiąc kryształowych dzwoneczków. – Jestem tu z ważnego powodu. Chcę ci coś ofiarować.

Eddie padł na kolana, oczy wychodziły mu z orbit.

– Ja... ja...

Aureola. Alex skupił się na niej, celując prosto w głęboką, czystą biel jej jądra.

– To nie będzie bolało – szemrał anioł, podchodząc coraz bliżej. Raptem uśmiechnął się, a wówczas jego blask zwiększył się dziesięciokrotnie, rozpraszając nocny mrok.

Drżąc na całym ciele, Eddie jęknął i pochylił głowę niezdolny wytrzymać tego piękna.

– W istocie zapamiętasz to jako najważniejsze doświadczenie swego życia...

Alex pociągnął za spust. Gdy pulsująca energia aureoli rozproszyła się pod wpływem uderzenia pocisku, stwór rozpadł się bezdźwięcznie na milion cząsteczek światła. Alex skulił się za samochodem, by uniknąć rażenia falą uderzeniową, mając w uszach przenikliwy okrzyk bólu anioła. Znajdując się nadal w stanie nadwrażliwości, dostrzegał pola energii wszystkich żywych istot w pobliżu falujące na skutek wstrząsu: upiorna linia drzew, wyrwane z podłoża kępki trawy gnące się w szalonym tańcu i miotane siłą huraganu.

Powoli wszystko wróciło do normalności. Zapadła niczym niezmacona cisza. Alex sprowadził ośrodek swojej energii z powrotem do czakramu serca, a wówczas upiorne kształty zniknęły. Ukrył karabin pod samochodem i podszedł do Eddiego, który nadal klęczał na chodniku, drżąc jak osika. T. Goodman wyparował bez śladu.

– Hej, stary, dobrze się czujesz? – zagadnął Alex, kucając przy Eddiem. Bramkarze przestali rozmawiać i patrzyli teraz w ich kierunku. Machnął do nich uspokajająco. Miało to znaczyć: „W porządku, koleś trochę za dużo wypił, to wszystko”.

Eddie zwrócił do niego zalaną łzami twarz. Poruszył ustami, potrzebując bezradnie głowę.

– Ja... tu był... wiem, że mi nie uwierzysz, ale...

– Tak, tak, wiem – odrzekł Alex. Otoczył Eddiego ramie-

niem i pomógł mu się podnieść. Jezu, gościowi przydałaby się dieta.

– O Boże... głowa mi pęka – jęknął mężczyzna, wisząc bezwładnie na ramieniu Aleksa. Efekt uboczny rozpadu anioła, pomyślał chłopak. Eddie znalazł się przecież zaledwie dwa metry od stwora, a chociaż większa część fali uderzeniowej poszła w kierunku Aleksa, skutki będzie odczuwał jeszcze przez wiele dni. Jednak było to lepsze niż anielskie poparzenie.

Wszystko było lepsze od tego.

– To było takie piękne – wymamrotał Eddie, zwiesiwszy bezsilnie głowę na piersi. – Tak cholernie piękne...

– Aha, naprawdę piękne – mruknął Alex, przewracając oczami.

Zaczął iść z powrotem w stronę baru, ciągnąc za sobą Eddiego, który ledwo powłóczył nogami. Jak zwykle w stosunku do cywili odczuwał mieszaninę współczucia i pogardy. Choć spędzał życie na ich ratowaniu, to byli tak ciemni jak tabaka w rogu, więc nie miał z tego zbyt wiele przyjemności.

– Hej, wydaje mi się, że nasz przyjaciel potrzebuje taksówki – powiedział, gdy dotarli do wykidajłów. – Znalazłem go na chodniku.

Jeden z bramkarzy zachichotał.

– Jasne, zajmimy się tym – odrzekł, przejmując od Aleksa ciężkiego biznesmena. – Stary Eddie jest naszym stałym klientem, prawda, kolego?

Eddie zatoczył głowę, usiłując skupić wzrok na ochroniarzu.

– Tom... widziałem anioła – wybełkotał.

Obaj bramkarze wybuchli gromkim śmiechem.

– Jasne, masz na myśli Amber, no nie? – spytał wyższy. – Kiedy tańczy na barze, ma na sobie naprawdę kuse szorciki. – Mrugnął porozumiewawczo do Aleksa. – Hej, stary, chcesz wejść do środka? Nie musisz płacić za wstęp, my stawiamy.

Gdy był młodszy, Alex dość często bywał w takich miej-

scach, głównie zaciągany tam przez innych Zabójców Aniołów. Szczerze mówiąc, uważał, że są piekielnie nudne. A choć miał ochotę na drinka, perspektywa siedzenia w Spurs z adrenaliną wciąż pulsującą w żyłach po zabiciu anioła była nieco zbyt surrealistyczna, nawet jak dla niego.

Potrząsnął głową i cofnął się o krok.

– Dzięki, może innym razem. Lepiej już pójdę.

– Kiedy tylko zechcesz – zapewnił go bramkarz. Eddie naprawdę stracił już świadomość i wisiał na wykidajle jak worek ziemniaków. Mężczyzna poruszył się niecierpliwie. – Hej, Mike, dzwonicz po tę taksówkę czy nie? Nasza Śpiąca Piękność leci z nóg.

– Aha, i powiedzcie mu, żeby odstawił twarde dragi – rzucił Alex z krzywym uśmiechem. – Bo następnym razem zobaczy różowe słonie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Boże, co za obciach – wymamrotała Nina. Stała oparta o drzwi od strony kierowcy z ramionami skrzyżowanymi na piersi i potrząsała głową z dezaprobatą.

– Chcesz, żebym ci go naprawiła, czy nie? – spytałam krótko. Mój głos doszedł stłumiony, bowiem niemal cała tkwiłam głęboko schowana w trzewiach silnika corvetty. Próbowałam wymienić jej gaźnik, tyle że silnik był tak zapaskudzony, iż mu try wyglądały jak zespawane z warstwą pokrywającego je niczym uszczelka brudu. Czarnego i tłustego, dodam, gdybyście bardzo chcieli wiedzieć. – Możesz mi podać tamtego francuza z żółtą rączką?

Nina, mamrocząc pod nosem, ukucnęła, żeby pogrzebać w moich narzędziach.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę masz własną skrzynkę z narzędziami. I że przyniosłaś ją do szkoły. – Wsunęła mi do ręki klucz francuski.

– Świetnie – mam przestać? Powiedz tylko słowo.

Na asfalcie dookoła mnie leżała mniej więcej połowa elementów silnika jej samochodu. Znajdowałyśmy się na szkolnym parkingu, ponieważ uznałam, że łatwiej mi będzie działać tutaj niż w moim garażu wypełnionym po dach kartonowymi pudłami, częściami do starych rowerów i ogólnie kupą śmieci,